

ALICJA MAZAN-MAZURKIEWICZ ORCID: 0000-0001-5782-042X
Uniwersytet Łódzki

Kopciuszek bez pomysłu i godna pożałowania księżniczka. Bohaterowie literaccy z perspektywy dziecka – dziecięce postrzeżenie bohaterów literackich z perspektywy literaturoznawcy

Abstrakt: Dla literaturoznawcy zajmującego się twórczością adresowaną do dzieci pociągająca jest myśl o poznaniu autentycznego, niezafalszowanego dziecięcego odbioru, doznań i refleksji towarzyszących wczesnym kontaktom z literaturą. Zarazem literaturoznawca ów wie, że znajomość tej sfery jest w sposób nieuchronny cząstkowa, a w relacji do ciekawości poznawczej – wręcz znikoma. Referat jest próbą opisu specyficznego „studium przypadku” – źródłem poznania jest tu bowiem pamięć autorki referatu o jej własnych dziecięcych lekturach, a konkretnie o sądach i emocjach odnoszących się do bohaterów tychże lektur. Motywację tego podejścia stanowi przekonanie o silnym, wyrazistym dostępie do własnych wspomnień oraz obecności w nich wątków interesujących, a niekiedy być może zaskakujących. Towarzyszy temu oczywiście świadomość, że także własne wspomnienia nie są dostępne „w stanie czytym”. Jednak proces transformacji treści wspomnień nie jest tu traktowany jako przeszkoda; przeciwnie, niesie on ze sobą możliwość dołączenia dodatkowej perspektywy, skoro dorosła osobowość dawnego dziecka – „mola książkowego”, jest naznaczoną przez profesję literaturoznawczą.

Słowa kluczowe: literatura dla dzieci, dziecięca percepcja literatury, transformacja wspomnień, studium przypadku

Cinderella as a Girl Lacking any Practical Skills and a Pitiful Princess. Literary Characters Seen from the Perspective of a Child – Childish Interpretation of Literary Characters from the Perspective of a Literary Scholar

Abstract: For a literary scholar specialising in texts targeted at children it is tempting to explore the authentic, original childish cognition of the text, together with the feelings and reflections that accompany the child while reading. At the same time, the scholar knows that the access to these sphere is, inevitably, only partial, even scant compared to the scholar's curiosity. This article is an attempt to describe a specific “case study” for the analysed source of cognition are the memories of the author herself, concerning her childish readings, her judgements and emotions that the characters

she read about evoked in her. The motif for such an idea is a strong conviction that the information included in her vivid memories and experiences provide an interesting, sometimes even surprising, field for analysis. Nevertheless, the author is aware that the memories we possess are never available in the "clear form". However, the process of transformation of the memories is not treated as an obstacle; quite the contrary, it offers a possibility to add an additional perspective, since the adult personality of a former child – a bookworm – is interlinked with the profession of a literary scholar.

Keywords: children literature, childish cognition of literature, transformation of the memories, case study

Ciekawość wobec literackich światów może – choć nie musi – iść w parze z ciekawością wobec wewnętrznych światów czytelników. Dla literaturoznawcy zajmującego się twórczością adresowaną do dzieci pociągająca jest myśl o poznaniu autentycznego, niezafałszowanego dziecięcego odbioru, doznań i refleksji towarzyszących wczesnym kontaktom z literaturą. Zarazem literaturoznawca ów wie, że znajomość tej sfery jest w sposób nieuchronny cząstkowa, a w relacji do ciekawości poznawczej – wręcz znikoma.

Pośrednią drogą do zaspokojenia ciekawości jest wypytywanie dorosłych o ich najwcześniejsze lektury. Gdy wypytywanymi są znawcy literatury, a ich interlokutorami wybitne osobowości, reprezentujące różne pokolenia, efekt może być niezwykle interesujący; przykładem jest zbiór wywiadów *Co czytali sobie, kiedy byli mali?* (Świerżewska, Mikołajewski, 2014), poświadczający wielopokoleniową trwałość tych samych lektur, ale zarazem rozmaity, zależny od indywidualnych cech wrażliwości, ich odbiór.

Nie ukrywam, że zrealizowany w artykule zamysł wyrósł na klęsce pierwotnego projektu. Planowałam bowiem tekst oparty na wynikach ankiety, z którą zwróciłam się do studentów, głównie kierunków filologicznych. Sformułowane przez mnie pytania dotyczyły ich indywidualnych dziecięcych relacji z bohaterami literackimi. Odzew był jednak nikły.

Nie ogłaszając kapitulacji ostatecznej, zwróciłam się ku rozmówcy niezawodnie chętnemu do podzielenia się lekturowymi wspomnieniami – ku sobie samej. Podejmuję zatem próbę opisu specyficznego studium przypadku – źródłem poznania będzie własna pamięć dziecięcych lektur, a konkretnie pamięć o sądach i emocjach odnoszących się do ich bohaterów.

Towarzyszy mi oczywiście świadomość, że żadne odległe w czasie przeżycie nie jest dostępne „w stanie czystym”; wynika to z samej natury pamięci. Ponadto, o czym pisze Joanna Papuzińska, w przypadku literaturoznawcy lata zawodowej praktyki nakładają się nieuchronnie na wspomnienia, „jakby czas trochę płynął pod prąd i po drodze zmieniały się kształty lektur” (Papuzińska, 2014:13). Jednak procesowi transformacji treści wspomnień nie traktuję jako przeszkody. Przeciwnie, upatruję w nim wartość, jaką stanowi dołączenie dodatkowej perspektywy. Dorosła osobowość dawnego dziecka – „mola książkowego” – jest na-

znaczona przez obecną profesję; co więcej, niektóre okruchy wspomnień wydają się zaświadczać o dojrzwaniu do tej profesji, ukazując ją *in statu nascendi*.

Ukierunkowanie na konkretne obszary literatury bywa na rozmaite sposoby powiązane z indywidualnymi cechami badacza i jego „pozanaukowym” życiem. W moim przypadku profesjonalne zainteresowanie literaturą dziecięcą narastało stopniowo, w cieniu innych zajęć badawczych. Kontekstem życiowym, który je umacniał, była intensywna praktyka pośrednika lektury (czy prościej: czytającej mamy). Zaś sama pasja czytania naznaczała mój tryb życia „od zawsze”.

Te uwarunkowania z pewnością nie zaskakują. Znamienny natomiast i mniej oczywisty wydaje się fakt, że upodobanie do lektur dziecięcych wyniosłam poza metrykalne dzieciństwo; że jako nastolatka i na etapie wczesnej dorosłości nie przeżyłam okresu zdecydowanego odejścia od lektur dziecięcych. Dorosły (rodzicielski i literaturoznawczy) zwrot ku nim był zatem nie tyle powrotem do krainy na jakiś czas opuszczonej, co zintensyfikowaniem obecności w niej, pełniejszym zamieszkaniem.

Warto zacząć od próby nakreślenia, choćby szkicowego, mojej sytuacji czytelniczkiej, warunków inicjacji literackiej. Byłam jedynaczką, dzieckiem pary polonistów. Odkąd sięgam pamięcią, istotny komponent moich intensywnych kontaktów z książką stanowiła „filologiczna skaza genetyczna”, zauroczenie słowem literackim, rytmem, urodą frazy. Drobinę tekstu mogły dominować nad całościowym zarysem utworu, nad kreacją bohatera, uobecnioną w tekście, nad fabułą. Jedną z moich najwcześniejszych filologicznych zdobyczy było słowo „niedościgle” ze *Zwierzyńca* Jana Brzechwy. Przygody sympatycznego Koziołka Matołka przyswoiłam niemal na pamięć; były dla mnie atrakcyjne zarówno dzięki wpadającej w ucho frazie, jak niebanalnej leksyce. Relacja między tekstem a stroną graficzną w tych książkach (usytuowanie czterowersów pod ilustracjami) pozwalała mi udawać, że umiem czytać; rychło zresztą udawanie przeszło w stan faktyczny. Teraz, pisząc artykuł i nie zaglądając do tekstu, mogę z pamięci cytować zdania, które szczególnie mnie uderzyły. Jak choćby tę skierowaną do Matołka przestrożę: „Capie luby! Ludzka czułość ciebie mami. Aż kielbasę z ciebie zrobią, którą u nas zwą salami”. Wypowiada ją osioł, dodając jeszcze, że „z mego dziadka i pradziadka też zrobili kielbasy”. Sądzę, że ten akurat fragment wywarł na mnie szczególne wrażenie tyleż ze względu na drastyczność wyrażonej w nim perspektywy (drastyczność wówczas lubą raczej, niż traumatyczną), co na egzotycznie brzmiące dla dziecka PRL-u słowo „salami”.

Miałam do czynienia z bogatym i mocno zróżnicowanym repertuarem tekstów, częściowo świadomie dobranych przez rodziców, częściowo z dziecięcego księgozbioru mojej mamy, znajdującego się w domu dziadków; wcześniej sięgałam też po dorosłe lektury. Zarazem był to repertuar pełen luk. Nie znałam przygód francuskiego urwisa Mikołajka ani powieści Astrid Lindgren (poza lekturą szkolną, *Dziećmi z Bullerbyn*), nie gościłam w Dolinie Muminków ani w Narni. Ominęły mnie także współczesne lektury typowo młodzieżowe. Mój

„dziewczyński” horyzont kształtowały bohaterki Kornela Makuszyńskiego, ale nie Małgorzaty Musierowicz czy Krystyny Siesickiej. Rzeczywistość szkolną w ujęciu literackim także poznawałam w wersji odmiennej od współczesnych realiów: *Serce* Edmunda de Amicisa, *Wspomnienia niebieskiego mundurka* Wiktora Gomulickiego i *Ze wspomnień Samowara* Benedykta Hertza należały do moich ulubionych pozycji, czytałam je wielokrotnie.

Wielu autorów poznałam „za wcześniej” lub „za późno”, w odniesieniu do powszechnie przyjętych kategoryzacji, wskazujących optymalny wiek czytelnika. Długo i uparcie wracałam do książek dzieciństwa, sięgając zarazem po kanoniczne pozycje literatury wysokiej. Z jednych i drugich czerpałam satysfakcję; wszak lekturę, która by mnie nie pociągała, mogłam w każdej chwili odłożyć. Rezultatem owego w dużej mierze swobodnego, częściowo nawet przypadkowego doboru stało się specyficzne pomieszanie stylów i sposobów odbioru. Mój wiek i doświadczenie życiowe (a raczej jego brak, rekompensowany wyobraźnią i wiedzą „książkową”) wchodziły w dziwne związki z tekstami.

Pamiętam, że gdy czytałam (w pierwszej klasie szkoły podstawowej) *W pustyni i w puszczy*, bohatera tej powieści, Stasia Tarkowskiego, uważałam właściwie za dorosłego człowieka. Dlatego bez zdziwienia przyjmowałam fakt, że tak doskonale sobie radził. To, że czternastolatek wydaje się kimś dorosłym w ocenie siedmioletniej dziewczynki, zbytnio nie dziwi; warto jednak dodać, że i minimalna różnica wieku urasta dla dziecka do znacznej rangi. Fakt, że powieściowa Nel była ósmiolatką, a nie moją rówieśniczką (co skrupulatnie odnotowałam w pamięci), pozwolił mi poniekąd zdystansować się wobec jej dramatu. Zdawałam sobie sprawę, że gdybym znalazła się w takiej sytuacji jak ona, byłoby to dla mnie straszne; ale zarazem byłam przekonana, że będąc o rok starsza, poradziłabym sobie znacznie lepiej.

Kilka lat później poznałam (i pokochałam) powieści historyczne Zofii Kosak-Szczuckiej, m.in. *Krzyżowców*; jednocześnie miałam niegasnące upodobanie do *Filonka Bezogonka* Gösty Knutssona. Świat krwawej historii, pełnej ludzkich namiętności i zbrodni i świat przyjaznych antropomorfizowanych zwierząt współlistniały dla mnie; nie było natomiast świata lektur wieku dorastania. Tak jakbym nie potrzebowała czy wręcz nie rozumiała potrzeby przejścia między lekturą „dziecięcą” a „dorosłą”. Dlatego z osobistym, subiektywnym zrozumieniem czytam o podobnym sąsiedztwie pozornie nieprzystających lektur (*Bajd krasnoludkowych* Witolda Zechentera i „Trylogii” Henryka Sienkiewicza) w „gawędzie o czytaniu” Zenona Urygi:

Gdy myślę o tym dość niezwykłym spotkaniu dwu pierwszych lektur, to zaczynam dostrzegać w ich zderzeniu ukryte nici ciągłości doświadczenia estetycznego oraz procesu dorastania.

Przyjemność obcowania z mieszkańcami krasnoludkowego lasu powracała i pomnażała się w spotkaniu i nawiązaniu emocjonalnego kontaktu z wyrazistymi postaciami *Trylogii*: pobożnym, cnotliwym Podbipiętą, rubasznym i krotochwilnym Zagłobą, biegłym w żołnierskim rzemiośle Wołodjowskim,

dzikim i dumnym Bohunem, zawiadczym Kmicicem, sprytnym Rzędzianem, chytrymi Kiemliczami itp. Wraz z tą przyjemnością narastał we mnie, dzięki bogactwu sposobów charakteryzowania tych postaci, elementarny zasób wiedzy psychologicznej. A jednocześnie obserwacja dzielności bohaterów, ich zdolności zwycięzania w najtrudniejszych sytuacjach, umożliwiała intuicyjne odczuwanie baśniowego wymiaru powieści (Uryga, 2015: 145).

Wspomniałam o braku potrzeby lektur „prześciowych”, niejako pośredniczących między literaturą dla dzieci a wysokoartystyczną. W moim przypadku było to jednak jeszcze coś innego: niezdolność odnalezienia się w świecie lektur młodzieżowych oraz ich bohaterów. Oto znamieny szczegół: pamiętam zdziwienie, z jakim przyjął wyznaczenie miłosne Zenka, głównego bohatera *Tęgo obcego* Ireny Jurgielewiczowej. Sama dziś jestem ciekawa, czy potrafiłabym wówczas precyzyjnie objaśnić powody tego zdziwienia, i na czym opierałoby się owo hipotetyczne objaśnienie. Bo raczej nie na odniesieniu do świata rzeczywistego. Z perspektywy czasu sądzę, że nie sam fakt zakochania nastoletnich bohaterów mnie zadziwił, lecz to, że został on przedstawiony w powieści. Klóciło się to bowiem z moim dotychczasowym doświadczeniem czytelniczym, wskazującym, że przeżycia i deklaracje miłosne są domeną „dorosłej” literatury, czy może inaczej: dorosłych bohaterów literackich. A jeśli młodzieżowych, to powinny być potraktowane z żartobliwym dystansem. Jak choćby perypetie „panny z mokrą głową”, Irenki Borowskiej (mojej ulubionej bohaterki), bez wzajemności zakochanej w chmurnym Zbyszku i bezskutecznie próbującej wzbudzić w nim zazdrość o rzekomego rywala. Do dziś pamiętam (i z przyjemnością przywołuję) scenę w parku, gdy sławny śpiewak Jerzy Zadora wykrzykuje do Irenki: „O, cudna pani, szaleję za tobą!” – zgodnie z jej poleceniem, zaś „od siebie, z własnej pilności” (jak to humorystycznie ujmuje narrator) dodaje: „Albo ty, albo śmierć!” (Makuszyński, 1958: 174).

Powrócę do przygód Koziołka Matołka; do wspomnianego już egzotycznie brzmiącego „salami” i stwierdzenia, że zdanie rysujące perspektywę przerobienia sympatycznego bohatera na kiełbasę brzmiało dla mnie atrakcyjne, ale nie przerażające. Chciałabym zatrzymać się przy najprostszym pytaniu: dlaczego?

Pytanie zasadne tym bardziej, że ten czytelniczy epizod uznałabym za symptomatyczny dla mnie, nie zaś odosobniony. Moje reakcje na dramatyczne przygody bohaterów cechowało coś, co można by uznać za sprzeczność: potrafiłam przeżywać silne zaangażowanie emocjonalne, ale raczej nie pamiętam, aby jego składową stanowiła obawa o los bohatera. Przykładowo: nie pamiętam takiej lektury, przy której drżałabym z przejęcia, czy Gerda odnajdzie Kaja, albo czy mała syrena zostanie pokochana przez księcia.

Czy w grę wchodziło zaufanie, że baśń kończy się dobrze? Nie sądzę. Wcześniej zauważyłam, że u Hansa Christiana Andersena (którego czytałam w jednotomowym obszernym wydaniu PIW z 1963 roku, nie w wyborze) bywa inaczej, boleśnie, trudno... „Andersen traktował dzieci poważnie. Mówił im nie tylko o radosnej przygodzie życia, ale i o jego niedolach, zgryzotach

i nie zawsze zasłużonych klęskach” (Szyborska, 1973: 53). Akceptowałam to i na swój sposób ceniłam.

A może po prostu w pamięci utrwalił mi się taki model lektury, któremu nie towarzyszy niepewność i niepokój, co będzie z bohaterami, bo wszystko już wiem? Ulubione baśnie czytałam przecież wielokrotnie; moje wspomnienie zazwyczaj nie jest pamięcią o pierwszej lekturze, lecz tej oswojonej, ponawianej. Współbrzmienie emocjonalne dotyczy zatem raczej pojedynczych sytuacji, w których znajduje się bohater lub bohaterka, przeżywanych przez nich emocji lub moralnych zmaganiań.

W szczególności los bohaterów tradycyjnych baśni nie był dla mnie kiedykolwiek przedmiotem troski. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że tak kategoryczne stwierdzenie naprawdę odnosi się do tego, jak dziś pamiętam dziecięce lektury, może zatem wskazywać na zawodną naturę pamięci. Nie da się wykluczyć, że był ten „pierwszy raz”, gdy z ulgą przyjąłm wybawcę-mysliwego, wkraczającego do chatki babci Czerwonego Kapturka. Jednak baśnie, być może przez wielokrotne powtarzanie, utrwaliły mi się w umyśle jako całości znaczeniowe, uchylając dramatyzm linearności; Kapturek od momentu wyjścia z domu z koszykiem jest w takim odbiorze zarazem połączony i uratowany. I jeśli zatrzymywałam się przy szczegółach baśni, to w zgoła innym celu.

Interesującym aspektem wydaje mi się mój dziecięcy krytycyzm czy też sceptycyzm wobec niektórych bohaterów, ich poczynań czy motywacji. To motyw wyeksponowany w tytule artykułu. Przykłady dziecięcych refleksji i osądów, które przywołam, mogą się wydawać anegdotyczne; nie układają się w ogólniejszą prawidłowość.

Oto Kopciuszek. Dziewczątka skromne, uczynne, pracowite. Uległe do przesady, ale gdy byłam dzieckiem, nie mówiło się o asertywności i nie pamiętam, bym kiedykolwiek słyszała, że ktoś kwestionuje komplet cnót Kopciuszka. Ja natomiast, owszem.

Otóż Kopciuszkiowi, zabierającemu się do żmudnej roboty: oddzielania grochu od soczewicy lub ziarenek maku od popiołu, brakowało praktycznego podejścia, inaczej mówiąc: pomysłu. Dzięki staremu domowi i ogrodowi moich dziadków miałam dostęp do popiołu, sadzy, maku, grochu – „kopciuszkowe” realia nie były mi zatem obce i z radością oddawałam się „brudnym” zabawom. Byłam mocno przekonana, że na miejscu Kopciuszka użyłbym sita o drobnym oczkach i odsiałabym popiół, zostawiając na sicie ziarenka maku. Pracujący nieustannie w kuchni Kopciuszek musiał jednak wiedzieć, czym jest sito, czemu nie wpadł na ten prosty pomysł? Pielęgnowałam zatem miłe poczucie zarówno intelektualnej, jak praktycznej, „gospodarskiej” wyższości wobec Kopciuszka. Uczciwie dodam, że nie próbowałam weryfikować pomysłu w praktyce.

Tu dygresja: teraz wydaje mi się dość interesujące, że nieustanne usmolenie baśniowej bohaterki nie budziło we mnie politowania. Nie przyszło mi na myśl, żeby z analogicznym poczuciem wyższości krytykować irracjonalne „siedzenie w popiele”. Być może intuicyjnie przyjmowałam ten szczegół jak element

konwencji, rekwizytorni baśni; mój zmysł praktyczny dochodził do głosu tam, gdzie chodziło o konkretne działanie, a nie o „kopciuskowy styl bycia”.

Dodam, że ów „Kopciuszek bez pomysłu” to anegdota, która do dziś służy mi pomocą w dydaktyce. Dzięki niej wyjaśniam najprościej, czym jest konwencja gatunkowa i jakie skutki niesie czytanie wbrew niej.

Drugi przykład zindywidualizowanego, przez pryzmat własnego doświadczenia życiowego, czytania, i zaskakujących wniosków płynących z nieświadomego negocjowania konwencji, to Andersenowska *Księżniczka na ziarnku grochu*. Ta baśń mnie irytowała samym założeniem, leżącym u podstaw fabuły: poszukiwaniem prawdziwej księżniczki. A jeszcze bardziej jego realizacją: uznaniem, że bohaterka „była prawdziwą księżniczką, skoro wyczuła ziarnko grochu przez dwadzieścia materacy i dwadzieścia puchowych pierzyn” (Andersen, 2006: 96). Powody mojego dyzgustu były dwa; co interesujące, poniekąd sprzeczne ze sobą. Czasami wyobrażałam sobie liczbę materaców i oczywistą niemożność, by ziarnko „przebiło się” jako twardy, uwierający element, przez owe warstwy. Ale decydujący był inny powód. Byłam z tych dzieci, którym „od niczego” nieustannie wyskakiwały nowe siniaki; wystarczyło lekkie uderzenie, stuknięcie o cokolwiek, dla mnie nawet nieodczuwalne. Do wieczornych, kąpielowych rytuałów należało stwierdzanie nowych siniaków, niekiedy zaskakująco dużych. Krótko mówiąc: wiedziałam, że taka nadwrażliwość na urazy to kłopot, a nie powód do chluby.

Od specyficznej obojętności na los bohaterów literackich, o której wspominałam, istniał wyjątek, przejawiający się na tyle silnie i konsekwentnie, że należałoby go nazwać regułą: obejmował on postaci zwierzęce. A uściślając: nie zwierzęta antropomorfizowane, obdarzone ludzkimi kompetencjami, lecz „prawdziwe” (tzn. przedstawione w ramach konwencji realistycznej). Ich ból i strach przeżywałam dotkliwie, o ich los drżałam.

To rozróżnienie, związane ze statusem bytowym zwierzęcego bohatera, ze sposobem jego wykreowania, wydaje mi się istotne, gdy patrzę na to z perspektywy literaturoznawcy. Sądzę bowiem, że tu z kolei ujawnia się nieświadomione, ale praktyczne realizowane w czytaniu, rozpoznanie konwencji. Lampo z powieści *O psie, który jeździł koleją* Romana Pisarskiego, niezwykle pojętny, ale jednak „stuprocentowo psi” pies, ginie pod kołami pociągu. Filonek Bezogonek, czytający kocią gazetę, jest „nieśmiertelny”, nic zasadniczo złego nie może mu się przydarzyć. Intuicyjnie to wiedziałam.

Chciałabym także zwrócić uwagę na aspekt etyczny zagadnienia. Znamienne wydaje mi się wspomnienie związane z filmem *Biały Bim, Czarne Ucho*, będącym ekranizacją powieści Gawriła Trojepolskiego. Seans kinowy, obejrzany wraz z rodzicami, okazał się połową filmu, zatem dramatyczna historia psa, błąkającego się i uparczywie szukającego ukochanego pana (który niespodziewanie trafił do szpitala; jego życie było poważnie zagrożone) pozostała w zawieszeniu. Ostatnie kadry pokazywały zrozpaczone, osamotnione, umęczone zwierzę. Mama próbowała złagodzić mój szok, zapewniając, że historia na pewno skończy się szczęśliwie dla psa, nawet jeśli nie dla pana.

Pamiętam swoje dość złożone uczucia, będące reakcją na tę pociechę. Przede wszystkim ułamkową świadomość, że niestosowne jest cenić los psa wyżej niż człowieka. Zarazem nie ukrywałam przed sobą, że faktycznie obchodzi mnie właśnie pies. To, czy jego pan wyzdrowieje, było dla mnie istotne o tyle, że trudno mi było wyobrazić sobie Bima szczęśliwego przy jakimś innym, nowym panu.

Moją uwagę zwróciło też to, że mama nie wykazała „hurraoptymizmu” i nie zapewniała, że dla wszystkich historia skończy się dobrze. To zresztą było, jak pamiętam, stałym elementem mojego wychowania; dodawano mi otuchy, ale nie przez odsuwanie i przemilczanie trudnych aspektów rzeczywistości.

Nie udało mi się obejrzeć drugiej części filmu, natomiast przeczytałam powieść Trojepolskiego i przeżyłam kolejny szok, bo rozwiązanie fabuły było odwrotne od zapowiadanego przez mamę: to pan został pocieszony nowym psiakiem.

Historia Białego Bima była w moich dziecięcych doświadczeniach przypadkiem granicznym, krańcowym. W powieściach Jacka Londona czy Jamesa Olivera Curwooda, które czytywałam, ginęły zwierzęta, ale nie te o statusie głównego bohatera. Zwierzęcy protagoniści bywali bliscy śmierci, okaleczeni, cierpiący, ale autor nie wymierzał ostatecznego ciosu wrażliwości młodych czytelników.

Na prawach dygresji dodam, że moją dziecięcą wyobraźnię naznaczyło jeszcze jedno stworzenie, wywiedzione z literackiego słowa. Wiedziałam o nim niewiele. Może właśnie dlatego mnie intrygowało? Wyobrażałam je sobie jako duże, może nawet wielkie. Taką sugestię niosło odnoszące się do niego, mocno brzmiące słowo „zwierz”; nie po prostu „zwierzę” ani tym bardziej „zwierzętko”. Zwierz ów miał niepowtarzalne, dźwięczne imię i bronił się... Przed czym lub przed kim? Nie wiedziałam, ale wyobrażałam sobie, że to zaciekle obrona; wszak ta jedna, jedyna czynność wyznaczała sposób istnienia tajemniczego zwierzęcia. Z pewnością byłam sercem po jego stronie.

Jednak rodzice (bo to od nich słyszałam intrygujące zdanie o broniącym się zwierzu) po pewnym czasie skomplikowali mi jego obraz. Dorzucili mu drugie imię; owszem, też piękne, pasujące do samotnego wojownika stojącego naprzeciwko wrogiego świata. Skłonili mnie jednak do prostego pytania: jak on się właściwie nazywa? Widocznie doświadczenie czytelnicze podpowiadało mi, że dwa imiona dla jednego literackiego bohatera, w dodatku zwierzęcego, to przesada. Jeszcze bardziej kłopotliwe okazało się dalsze uchylenie rąbka tajemnicy. Wbrew moim wcześniejszym wyobrażeniom zwierz nie był bynajmniej samotnym wojownikiem: bronił się „z garstką rycerzy”. Cóż za osobliwe dla zwierzęcia towarzystwo!

Wreszcie, świadoma już zawilosci polskiej ortografii i pisowni, dowiedziałam się, że nie ma żadnego zwierza. Bowiem:

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy.

Tak okrutnie rozwiana tajemnica przerodziła się w głębsze zauroczenie, w długotrwałą fascynację *Konradem Wallenrodem*. Ale to parę lat później.

Próba uogólnienia lekturowych wspomnień, rozpoznania stałych wzorców prowadzi mnie między innymi do spostrzeżenia, że kilka modelowych sytuacji związanych z cechami ontologicznymi czy sytuacjami egzystencjalnymi bohatera budziło we mnie szczególnie oddźwięk. Jedną z nich można określić, posługując się nazwą uczucia specyficznego dla kultury japońskiej: *ijirashii*. Antropolożka kultury Tiffany Watt Smith tłumaczy jego istotę następująco:

Doznanie wzruszenia lub poruszenia na widok niepozornej istoty pokonującej przeszkodę lub robiącej coś chwalebne ma nazwę w języku japońskim: *iji-rashii*. Tego uczucia można doznawać, oglądając sportowca, który na przekór wszystkim przeciwnościom przekracza linię mety, albo słysząc, jak bezdomny zwrócił portfel właścicielowi. Może nam się wtedy nawet zakręcić łza w oku, jak Churchillowi, kiedy widział, z jaką godnością i odpornością najbiedniejsi londyńczycy znosili bombardowanie miasta. Niektóre kultury mogą odrzucać takie połączenie patosu i dumy z kogoś innego jako sentymentalizm. W Japonii odczucie to jest cenione i uważane za stosowną reakcję na niezwykle hart ducha tych, którzy w pierwszej chwili wydali nam się słabi i bezbronni (Watt Smith, 2017: 97–98).

Przypuszczam, że dla wielu znawców czy miłośników literatury dziecięcej idealnym przykładem postaci literackiej budzącej takie uczucie byłyby Nemecek z powszechnie znanej powieści Ferencza Molnára. Owszem, dla mnie także. Ale o wiele wcześniej i z większą dawką ściskającego w gardle wzruszenia czytałam o innym spośród „słabych i bezbronnych”, o którym tuż po jego narodzinach osądzono, że „nic z niego nie będzie”: o słabowitym, nieporadnym osiołku Muftim. Jego desperacka walka z szakalem w obronie dziewczynki, Laili, to jedno z najmocniejszych emocjonalnie wspomnień lekturowych mojego dzieciństwa:

Chciała krzyczeć, ale żaden głos nie wyszedł ze ściśniętego przerażeniem gardła. Palcami wczepiła się w szare, cuchnące kudły, rękami daremnie odpychała napastnika. Jakiś cień wyrósł raptem nad nią, przesłonił niebo. Ryk osiołka wstrząsnął powietrzem. zamigotały małe, czarne kopytka. Biły szakala z całych sił. Uderzały to w głowę, to w brzuch, gdzie popadło. A każdy cios był celny. Podkuliwszy ogon pod siebie zwierzę rzuciło się ze skowytem do ucieczki. Dotknięcie szorstkiego języka przywróciło Laili przytomność. Jęcząc podniosła się z ziemi i ledwo zdołała się wciągnąć na grzbiet osiołka. Co było dalej, nie wiedziała. Ogarnęła ją ciemność.

Księżyc ostrym światłem srebrzył ścieżkę. Przed obejściem Mahmuda rozległ się naraz przeciągły ryk. Mufti ryczał, jakby go obdzierano ze skóry. Na jego grzbiecie między koszami leżała pokrwawiona, nieprzytomna dziewczynka (Centkiewiczowa, 1972: 28).

Cechowało mnie stałe upodobanie do jeszcze innego typu bohaterów: „dobrych, którym zdarzyło się zbłądzić”, „nawróconych grzeszników”. Sytuacja,

gdy popełnione zło owocuje wstrząsem moralnym, prowadząc ku odrodzeniu, przemianie, żywo przemawiała do mojej wyobraźni. Zdarzało mi się snuć refleksje etyczne, zestawiać ze sobą bohaterów, których dzieje zawierały taki właśnie moment przełomu, np. Ryśka z *Chłopców ze Starówki* Haliny Rudnickiej z... Andrzejem Kmicicem. Różnica statusu obu powieści, ich wartości literackiej i kulturowej, a nawet realiów świata przedstawionego nie stanowiła dla mnie przeszkody.

Nieco później, w latach licealnych, czytałam powieści historyczne norweskiej noblistki Sigrid Undset: *Krystynę córkę Lavransa* i *Olafa syna Auduna*. Tytułowi bohaterowie, jako dzieci wychowani w środowisku przywiązującym wagę do ładu moralnego, wynikającego z wiary chrześcijańskiej, prawi z natury, wkraczając w dorosłość, na skutek powikłanych kolei losu naruszają ów ład: oboje stają się winnymi śmierci człowieka. To ich boleśnie naznacza, nie niszczy jednak wrażliwości moralnej. Do powieści Undset wracałam jeszcze kilkakrotnie, na różnych etapach życia; jestem przekonana, że „rosną one” wraz z czytelnikiem, zdolnym odczytać coraz głębsze aspekty niełatwej prawdy o człowieku. Ale początki tego trybu lektury, poszukiwania w literaturze pięknej obrazu tajemnicy ludzkiego pragnienia dobra i uwikłania w zło – wedle Pawłowego sformułowania „Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę” (Rz 7, 19) – odnajduję w lekturach wieku dziecięcego.

To ukierunkowanie na etyczny wymiar zmagania bohaterów sprawiało, że silnie przemawiały do mnie sceny psychomachii. Znamienne pod tym względem wydają mi się refleksje i emocje towarzyszące lekturze (wielokrotnej) *Serca* Edmunda de Amicisa, a konkretnie *Opowiadań miesięcznych*. Przyznam, że nuziły mnie raczej niż zasmucały śmierci kolejnych bohaterów; z dzisiejszego punktu widzenia mogę dopowiedzieć, że ze względu na swoistą monotonię tego rozwiązania fabularnego, przewidywalność, a także zapewne patos. Nieporównywalnie bardziej angażował mnie los tych bohaterów, którzy nie wystawiali się na niebezpieczeństwo śmierci, lecz musieli zmagać się z własną psychiką, z trudnymi uczuciami: zniechęceniem, smutkiem, tęsknotą. Przejmował mnie cichy heroizm conocnej pracy florenckiego chłopca, który w tajemnicy pomagał ojcu, w zamian cierpiąc z powodu oskarżeń o lenistwo w nauce (*Mały pisarczyk z Florencji*). Potrafiłam także docenić decyzję stęsknionego syna, by pozostać do końca przy umierającym w szpitalu nieznanym mężczyźnie, zamiast wrócić z cudownie odnalezionym ojcem do domu (*Przy łożu „taty”*).

Większość przywołanych przez mnie w artykule autorów i dzieł literackich jest powszechnie znana. W zakończeniu chciałabym przytoczyć przykład z zapomnianej powieści (wydanej po raz pierwszy niemal u progu niepodległości, w 1921 roku). Jej głównym bohaterem jest jedna z najdramatyczniejszych postaci dziejów Polski, Bolesław Śmiały – ukazany jako młodzieniec, w latach przed objęciem władzy (akcja powieści kończy się wraz ze śmiercią Kazimierza Odnowiciela). Ujęcie postaci młodocianego bohatera jest idealizujące; za-

razem jednak czytelnikowi znajdującemu późniejsze wydarzenia historyczne, tłumaczy ono burzliwe dzieje panowania Bolesława cechami temperamentu, nieokiełznaną porywcznością. Przyszły władca jawi się jako młodzieniec pełen szlachetnych uczuć, szczery, serdeczny i zdolny do ofiarności; jako „Bolko, co w gniewie zabić mógł kogoś, a w żalu i skrusze siebie” (Szalay-Groele, 1960: 85). Fabuła obfituje w wydarzenia, uwypuklające te cechy osobowości bohatera. Bolko bez wahania skacze do przerębli, by ratować tonące dziecko rybaka. W porywie gniewu niemalże zabija najbliższego przyjaciela, by następnie, udręczony wyrzutami sumienia, czuwać nocami przy łożu rannego. A jednak te dramatyczne zdarzenia nie przyćmiły dla mnie wymowy subtelnej sceny, w której Bolko pociesza młodszą siostrę Świętochnę, gdy jej ukochanego szpaka zadusił kot. Pozwala jej pobawić się ze swoim ulubieńcem, angorskim królikiem Śnieżkiem, a idąc za impulsem serca zdobywa się na ofiarę, która z perspektywy dziecięcego czytelnika bynajmniej nie jest błaha:

– Śnieżek? – zawołała z radością. – Pozwolisz mi pobawić się z nim? Och, Bolek, jakiś ty dobry!

Chłopak wyjął zwierzątko z zanadru i nagle gwałtownym ruchem do piersi je przycisnął... Żal i wahanie mignęły mu w oczach. Opanował się jednak natychmiast i szybko, stanowczo na kolanach dziewczynki go położył.

– Masz! Daruję ci go! – rzekł drżącym, sztucznie ożywionym głosem.

Świętochna patrzyła nań szeroko otwartymi oczyma, nie wiedząc, czyli słyszy dobrze.

– Mnie darujesz? Twojego Śnieżka ulubionego? – wyjąkała wreszcie niepewnie.

– To nie może być!

– Ależ tak! Ależ tak – potwierdził żywo. – Twój on już jest! Będzie się z tobą pieścił, będzie za tobą chodził wszędzie! A ja tu przyjdę czasem pobawić się z nim, dobrze?

Za całą odpowiedź zarzuciła mu rączki na szyję i ścisnęła go z całej siły, kryjąc nosek na jego piersi. Nie mogła mówić z zachwytu i radości.

Bolek w ramiona pochwycił siostrzyczkę i podniósł wysoko, wysoko! Już mu ani troszkę żal nie było królika! (Szalay-Groele, 1960: 99–100).

Andersen (i pisząca o nim Wisława Szymborska) mieli, jeśli o mnie chodzi, rację: dziecku nie jest koniecznie potrzebne „szczęśliwe zakończenie” dziejów bohatera. (W powieści Walerii Szalay-Groele zakończeniem jest konfrontacja bohatera z ciężarem życia: śmiercią ojca i odpowiedzialnością za państwo, którego władcą się staje). Potrzebne jest natomiast piękno uczuć, decyzji i czynów; także jeśli nie zostaje ono „nagrodzone” w potocznym rozumieniu tego słowa. Może dlatego spośród postaci wykreowanych przez duńskiego baśniopisarza najgłębiej zapadły mi w serce dwie: mała syrena oraz słowik, broniący przed zniszczeniem sztucznego ptaka, który odebrał mu miłość cesarza.

Pora na podsumowanie. Z lektur dziecięcych wyniosłam z pewnością akceptację (i niesłabnącą ciekawość) dla złożonych i nieprzewidywalnych konfiguracji literackich upodobań i niechęci, dla zaskakującego splotu dziecięcej

wiedzy i niewiedzy oraz dla świeżych, autentycznych (a nie zawsze „poprawnych”) rozpoznań moralnych najmłodszych czytelników. Oraz wdzięczność i uznanie dla pisarzy, którzy poprzez kreacje bohaterów uczynili mój świat doznań czytelniczych bogatym i niekiedy dla mnie samej zaskakującym.

BIBLIOGRAFIA

- Andersen, H. C. (2006). *Baśnie i opowieści*, t. 1 (tłum. B. Sochańska). Poznań: Media Rodzina.
- Centkiewiczowa, A. (1972). *Mufti, osiołek Laili*. Warszawa: Biuro Wydawnicze „Ruch”.
- Makuszyński, K. (1958). *Panna z mokrą głową*. Warszawa: Nasza Księgarnia.
- Papuzińska, J. (2014). Ogród snów i duchów. W: E. Ihantowicz (red.), *Zapomniane/zapomniane. Dziecięce lektury czytane po latach. Studia przypadków* (13–32). Warszawa: Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego.
- Rostocki, S. (reż). (1977). *Bielyj Bim Czornoje ucho* [Biały Bim Czarne Ucho] [film]. ZSRR: Gorky Film Studio.
- Szalay-Groele, W. (1960). *W orlim gnieździe Opowieść z XI-go wieku*. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.
- Szyborska W. (1973). *Lektury nadobowięzkowe*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Świerżewska, E., Mikołajewski, J. (2014). *Co czytali sobie, kiedy byli mali?*. Warszawa: Egmont Polska.
- Uryga, Z. (2015). Dwie pierwsze lektury – gawęda o czytaniu. W: A. Ungeheuer-Goląb, M. Chrobak, M. Rogoż (red.), *O tym, co Alicja odkryła... W kręgu badań nad toposem dzieciństwa i literaturą dla dzieci i młodzieży* (141–146). Kraków: Wydawnictwo Naukowe UP.
- Watt Smith, T. (2017). *Księga ludzkich uczuć. Ciekawość, empatia, odwaga, rozkosz, pogarda oraz wiele innych* (tłum. J. Konieczny). Warszawa: WAB.